

PROFETYCZNE PRZESŁANIE JASNEJ GÓRY

Muszę stwierdzić na wstępie, iż tak sformułowany temat jest dziełem o. Zachariasza Jabłońskiego. To on także zlecił mi zadanie opracowania tego tematu i podzielenia się swymi przemyśleniami z uczestnikami niniejszego sympozjum. Czynię to z wielką radością i wdzięcznością za możliwość brania udziału w obchodach 350. rocznicy obrony Jasnej Góry, a zarazem z pewnym niepokojem, albowiem nie jestem pewien, czy uda mi się sprostać wyznaczonemu mi zadaniu.

Całość mojego przedłożenia podzieliłem na trzy części: krótką refleksję teologiczną, świadectwo i pewne wnioski lub sugestie.

TEOLOGIA

Z teologicznego punktu widzenia, trzy pojęcia zawarte w temacie zasługują na uwagę i bardziej wnikliwe ich przemyślenie. Chodzi oczywiście o profetyzm, sanktuarium, zwłaszcza to, w którym obecnie się znajdujemy, czyli sanktuarium Maryjne.

a) *Profetyzm* jest zjawiskiem powszechnie znanym i studiowanym. W mentalności ludowej kojarzy się on zazwyczaj z przepowiadaniem rzeczy nowych, przyszłych, nieznanych. Niewątpliwie, coś z tego było i jest wciąż w profetyzmie. Niemniej w znaczeniu ścisłym i jak najbardziej właściwym profetyzm jest przemawianiem z mocą w imieniu samego Boga. Jeśli dany prorok zna rzeczy przyszłe lub teraźniejsze, ale nikomu nie znane, to tylko dlatego, że Bóg mu je objawił. Zresztą każdego autentycznego proroka sam Bóg wybierał i posyłał do ludzi ze swoim własnym słowem. Tak było w przypadku proroków starotestamentowych, wielkich i małych, tych, którzy byli autorami, lub którym przypisano poszczególne księgi, ale i tych także, których imiona pojawiają się na kartach niemal całego Starego Testamentu.

Autentyczny prorok przemawia zawsze w imieniu Boga samego: karci, napomina, wyjaśnia, przestrzega, wytyka błędy, wskazuje właściwą drogę postępowania, a od czasu do czasu zapowiada także – raczej mgliście i niejasno

(obrazowo) – rzeczy przyszłe, narażając się na ogół tym wszystkim, co czyni i/lub mówi, na gniew swoich słuchaczy Jednym z takich wielkich proroków Starego Testamentu był niewątpliwie Mojżesz, który nie doczekał się mimo wszystko wejścia do Ziemi Obiecanej; w czasach Jezusa i przez całe późniejsze stulecia przypisywano mu jednak autorstwo Tory, czyli Prawa normującego życie Narodu Wybranego, a za największego proroka uznawano raczej Eliasza, wziętego żywcem do nieba (por. 2 Krl 2, 11-12; Mt 17, 3-4, 10-13). Osobiście zaintrygowała mnie jednak postać proroka Natana, który odważył się stanąć wprost, oko w oko, przed królem Dawidem i wygarnąć mu wszystkie jego grzechy i nieczne występki. Nie uczynił tego jednak wprost, ale ubocznie, opowiadając królowi o jakimś bogaczu, który w jego kraju potraktował niczemnie biedaka: to właśnie sprawiło, że król, któremu się udało – jak mu się nie bez podstaw wydawało – zatuszować wszystkie swoje zbrodnie, wydał wyrok chyba bardziej surowy, aniżeli wymagała tego ludzka sprawiedliwość: „Na życie Pana, człowiek, który tego dokonał, jest winien śmierci. Nagrodi on za owieczkę w czwórnasób, gdyż dopuścił się czynu bez miłosierdzia” (2 Sm 12, 5-6). I w tym właśnie momencie padły z ust Natana te niesłychanie wymowne słowa skierowane wprost do Dawida: „Ty jesteś tym człowiekiem” (w. 7), połączone z dokładnym wyjaśnieniem, na czym polegało jego przestępstwo i jakie nieszczęścia go za to spotkają. Dawid zrozumiał, na szczęście, swój grzech i otrzymał Boże wybaczenie, wypowiedziane ustami proroka, wiedząc jednak dobrze o tym, iż zapowiadana słuszna kara bynajmniej go nie ominie. Na ogół jednak prorocy spotykali się z głuchym milczeniem, jeśli nie otwartym sprzeciwem swoich słuchaczy: bywali szykanowani, odrzucani, mordowani... Sam Jezus, którego słuchacze uważają za proroka, a nawet mówią o Nim wprost: „Wielki prorok powstał wśród nas, i Bóg łaskawie nawiedził lud swój” (Łk 7, 16), kiedy odczytał mieszkańcom Nazaretu słowa proroka Izajasza: „Duch Pański spoczywa na Mnie, ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie, abym ubogim niósł dobrą nowinę, więźniom głosił wolność, a niewidomym przejrzenie; abym uciśnionych odsyłał wolnymi, abym obwoływał rok łaski od Pana” (Łk 4, 18-19), i zaraz potem wyjaśnił: „Dziś spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli” (w. 21), spotkał się z takim sprzeciwem, iż musiał z bólem stwierdzić: „żaden prorok nie jest mile widziany w swojej ojczyźnie” (w. 24), co wywołało jeszcze większe oburzenie słuchaczy, którzy „unieśli się gniewem. Porwali Go z miejsca, wyrzucili Go z miasta i wyprowadzili aż na stok góry, na której ich miasto było zbudowane, aby Go strącić” (w. 28-29). Jezus jednak dobrze wiedział, iż jest to „rzecz niemożliwa, żeby prorok zginął poza Jerozolimą” (Łk 13, 33).

Niezwykle cenne i godne szczególnej uwagi są też wypowiedzi Jezusa, dotyczące – znanych zresztą dobrze z dziejów Izraela – fałszywych i prawdziwych proroków. Fałszywy prorok umiał bowiem zręcznie podlizywać się królom, władcom, ludowi i dlatego cieszył się z reguły ich szacunkiem i poważaniem.

Natomiast prawdziwy prorok mówił zawsze prawdę, bo występował w imieniu Boga, a tym samym narażał się wszystkim, albowiem prawda była z reguły niewygodna dla tych, którzy rządzą tym światem. Uczniowie Jezusa mają być także głosicielami prawdy Bożej i dlatego świat ich znienawidzi (por. J 15, 19). Jezus nie zapowiada im słodkiego życia, lecz udrękę, ucisk i prześladowania: „Na świecie doznacie ucisku, ale miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat” (J 16, 33). Taki był los proroków występujących w imieniu Boga, taki jest los Jezusa – Największego Proroka wszech czasów – i taki też będzie los Jego wyznawców. Gdyby bowiem było inaczej, należało by powątpiewać w prawdziwość głosu tych, których świat nie prześladowuje: czy nie są to raczej fałszywi prorocy? podstępne wilki ubierające się w owczą skórę? Słowa Jezusa nie wymagają tutaj żadnego komentarza: „Błogosławieni będziecie, gdy ludzie was znienawidzą, i gdy was wyłączą spośród siebie, gdy zelżą was i z powodu Syna Człowieczego podadzą w pogardę wasze imię jako nieczne: ciescie się i radujcie w owym dniu, bo wielka jest wasza nagroda w niebie. Tak samo bowiem przodkowie ich czynili prorokom. Natomiast biada wam, bogaczom, bo odebraliście już pociechę waszą. [...] Biada wam, gdy wszyscy ludzie chwalić was będą. Tak samo bowiem przodkowie ich czynili fałszywym prorokom (Łk 6, 22-26).

I jeszcze jedna uwaga: nie każdy prorok musi mówić; wystarczy niejednokrotnie sama jego postawa, świadectwo dawane innym swoim własnym życiem. Mówi się o św. Franciszku z Asyżu, że wybrał się kiedyś do miasta z jednym ze swych współbraci celem głoszenia ludziom Chrystusa. Gdy przeszli przez miasto bez słowa, ten brat go zapytał, dlaczego nic nie mówili. Franciszek miał mu odpowiedzieć, iż samo ich przejście przez miasto było już głoszeniem Ewangelii Chrystusowej. W tym duchu wypowiedział się także Sobór Watykański II, kiedy oficjalnie stwierdził, iż wierni świeccy mają udział w potrójnej funkcji Chrystusa: kapłańskiej, królewskiej i prorockiej, wysuwając przy tej ostatniej na plan pierwszy nie tyle nauczanie, co świadectwo dawane własnym życiem wiarą: „Chrystus Prorok wielki, który zarówno świadectwem życia, jak mocą słowa ogłosił Królestwo Ojca, pełni swe prorocze zadanie aż do pełnego objawienia się chwały – nie tylko przez hierarchię, która naucza w Jego imieniu i Jego władzą, ale także przez świeckich, których po to ustanowił świadkami oraz wyposażył w zmysł wiary i łaskę słowa (por. Dz 2,17-18, Ap 19,10), aby moc Ewangelii jaśniała w życiu codziennym, rodzinnym i społecznym. Okazują się oni synami obietnicy, jeśli mocni w wierze i nadziei wykorzystują czas obecny (por. Ef 5,16, Kol 4,5) i w cierpliwości oczekują przyszłej chwały (por. Rz 8,25). A nadziei tej nie powinni ukrywać w głębi serca, lecz dawać jej stale wyraz swym postępowaniem oraz walką «przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw złym duchom» (Ef 6,12), także przez formy życia świeckiego.

Tak jak sakramenty Nowego Zakonu, z których pokarm swój czerpie życie i apostołstwo wiernych, typycznie zapowiadają i wyobrażają nowe niebo i nową ziemię (por. Ap 21,1), tak ludzie świeccy stają się potężnymi głosicielami wiary w rzeczy, których się spodziewają (por. Hbr 11, 1), jeżeli z życiem z wiary niezachwianie łączą wyznawanie wiary” (KK 35).

Czyż Jasna Góra, na której gromadzą się ustawicznie, we dnie i w nocy, wierni z całej Polski i ze świata, dając w ten sposób świadectwo swej żywej wiary, nie staje się tym samym wielkim Prorokiem obwieszczającym nieustannie całemu światu wielkie dzieła Boże, jakie tu się wciąż dokonują! Jasna Góra przemawia ustawicznie nie tylko ustami setek tysięcy modlących się tutaj pielgrzymów, ale także samą ich obecnością w tych wszystkich swoich zakątkach i miejscach, które mają również swoją głęboką wymowę. Przecież sam Jezus, gdy ludzie triumfalnie Go pozdrawiali w dniu, który nosi obecnie nazwę Niedzieli Palmowej, a „niektórzy faryzeusze spośród tłumu rzekli do Niego: «Nauczycielu, zabroń tego swoim uczniom». Odrzekł: «Powiadam wam: Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą!»” (Łk 19, 39-40). Tak, również kamienie Jasnej Góry mają swoją głęboką wymowę – iście profetyczną.

b) *Sanktuaria* są mniejsze i większe, znane powszechnie i mniej znane, ogólnościatowe i lokalne, każde zaś z nich ma swój klimat, swoją wymowę, swoje autentyczne przesłanie.

W Izraelu były liczne domy modlitwy – synagogi, w których regularnie się zbierano na czytanie/słuchanie Słowa Bożego i na modlitwę, ale sanktuarium było tylko jedno – Świątynia Jerozolimska, miejsce składania codziennych, a zwłaszcza paschalnych, ofiar (przede wszystkim z baranków), albowiem mieszkał tam osobiście – według przekonania pobożnych Izraelitów – sam Stwórca świata i ludzi, Bóg jedyny i najwyższy, Pan zastępów, Jahwe. Zachowały się do dzisiaj przepiękne psalmy pątnicze, wyrażające uczucia ludzi pielgrzymujących do tego jedyne w swoim rodzaju miejsca na ziemi, gdzie można stanąć „twarzą w twarz” z Bogiem i zamieszkać choć na chwilę w „domu Pańskim”, pod warunkiem jednak, że się jest człowiekiem uczciwym i prawym, wolnym od nałogów i grzechów, miłującym pokój i sprawiedliwość, postępującym zgodnie z Prawem Pańskim. Przypomnijmy choć kilka z nich: „Jak miłe są przybytki Twoje, Panie Zastępów! Dusza moja pragnie i tęskni do przedsieni Pańskich. [...] Szczęśliwi, którzy mieszkają w domu Twoim, Panie, nieustannie Cię wychwalają. [...] Zaiste jeden dzień w przybytkach Twoich lepszy jest niż innych tysiące; wolę stać w progu domu mego Boga, niż mieszkać w namiotach grzeszników” (Ps 84, 2-5. 11); „Przed Nim kroczą majestat i piękno, potęga i jasność w Jego przybytku. Oddajcie Panu, rodziny narodów, oddajcie Panu chwałę i uznajcie potęgę; oddajcie Panu chwałę Jego imienia! Nieście ofiary i wchodźcie do Jego przedsieni, oddajcie pokłon odziani w święte szaty!” (Ps 94, 6-9); „O Panie,

słyszysz mój głos od rana, od rana przedstawiam Ci prośby i czekam. Bo Ty nie jesteś Bogiem, któremu miła nieprawość, złego nie przyjmiesz do siebie w gościnę. [...] Ja zaś dzięki obfitej Twej łasce, wejdę do Twojego domu, upadnę przed świętym przybytkiem Twoim przejęty Twoją bojaźnią” (Ps 5, 4-8); „Kto będzie przebywał w Twym przybytku, Panie, kto zamieszka na Twojej świętej górze? Ten, który postępuje bez skazy, działa sprawiedliwie, a mówi prawdę w swoim sercu...” (Ps 15, 1-2). Czyż nie są to słowa, które może i powinien wypowiadać całym swoim sercem każdy pielgrzym dzisiejszy, a więc zdążający także na Jasną Górę Zwycięstwa! – jak zwykłą ją nazywać Prymas Tysiąclecia.

W Kościele katolickim każda świątynia, w której zamieszkuje Jezus ukryty pod postaciami eucharystycznymi, jest prawdziwym sanktuarium, a w celebrowanej w niej liturgii eucharystycznej, która jest rzeczywistym szczytem i źródłem całego życia chrześcijańskiego (por. KL 10), życie ludzkie nabiera autentycznego sensu. Niemniej, wrodzone człowiekowi dążenie do Nieskończoności przynagliło go do wędrowania i pielgrzymowania do miejsc szczególnie uświęconych obecnością Boga, w jakie obfitowała i obfituje nadal cała Ziemia Święta, a także krwią Męczenników – autentycznych Świadców Boga na ziemi. Nic więc dziwnego, że przez całe stulecia chrześcijanie wędrowali i wciąż jeszcze wędrują do Grobu Jezusa, do grobów Apostołów i późniejszych Męczenników, a gdy one stawały się niedostępne lub znikwały na skutek przeróżnych wydarzeń losowych z powierzchni ziemi, do miejsc bardziej bliskich i serdecznych, przepełnionych odczuwalną obecnością Maryi. Rodziły się więc niemal niespostrzeżenie większe i mniejsze sanktuaria Maryjne, zanim jeszcze Najśw. Dziewica zaczęła sama się ukazywać w wybieranych przez siebie miejscach, jak Lourdes, Fatima, La Salette i wiele innych.

Jednym z możliwych wyjaśnień powstania właściwie dopiero w czasach nowożytnych tak wielu sanktuariów Maryjnych, rozsianych po całym świecie, może być chyba rozpowszechniona wówczas mocno w Kościele katolickim myśl o surowej sprawiedliwości Boga, głoszonej w sposób bardzo dobitny zwłaszcza przez ówczesnych misjonarzy ludowych i kaznodziejów. Też sprawiedliwości przeciwstawiano bowiem w sposób zgoła naturalny dobroć Matki. Świadczą o tym wymownie powstałe w tym czasie pieśni Maryjne, spośród których najwyraźniej chyba kontrast ten uwypuklają dalsze zwrotki pieśni „Serdeczna Matko”: „Zasłużyliśmy, to prawda, przez złości, / by nas Bóg karał różgą surowości; / lecz kiedy ojciec rozgniewany siecze, / szczęśliwy, kto się do matki uciecze. [...] Dla twego serca wszystko Bóg uczyni, / daruje plagi, choć człowiek zawini; / jak Cię, cna Matko, nie kochać serdecznie, / gdy się skryć mogę pod twój płaszcz bezpiecznie. / Ratuj nas, ratuj, Matko ukochana, / zagniewanego gdy zobaczysz Pana; / mieczem przebite pokazuj Mu serce, / gdy Syna na krzyż wbijali morderce. / Dla tych boleści, któreś wycierpiała, / kiedyś pod krzyżem

Syna twego stała; / Bóg nam daruje, byśmy nie cierpieli, / cośmy wytrzymać za złość naszą mieli. / A gdy ujdziemy tak gniewu, jak chłosty, / pokaż nam, Matko, tor do nieba prosty; / niechaj to serce, z którego opieki / dotąd żyjemy, kochamy na wieki”. Czyż te piękne i poprawne teologicznie – przynajmniej po ludzku rzecz biorąc – słowa nie uzasadniają głęboko rozwijającej się tak potężnie w katolicyzmie pobożności maryjnej wraz z typowym dla niej pielgrzymowaniem do sanktuariów Matki Bożej?

I jeszcze jedno dopowiedzenie: wydawało mi się dawniej, prawdopodobnie jeszcze jako dziecku, że w tych mniejszych sanktuariach można więcej uzyskać, albowiem Matka Boża jest zawsze ta sama, równie hojna i łaskawa, a chętnych do otrzymania Jej łask pojawia się znacznie mniej, dzięki czemu każdy z nich otrzymuje o wiele więcej dóbr duchowych. Dopiero z biegiem czasu zrozumiałem, jak bardzo błędne było takie myślenie. Wpadła mi kiedyś do rąk w Austrii książka-album, ukazująca sanktuaria Maryjne w tzw. Dolnej Austrii: dziesiątki i dziesiątki takich małych, mało znanych obecnie, sanktuariów. Były to z reguły bardzo niewielkie kościółki Maryjne, budowane w miejscach, gdzie się zatrzymywali pielgrzymi zdążający do największego sanktuarium w tym kraju w Mariazell: takie zwykłe stacje postojowe na Maryjnym szlaku pątniczym. Dlaczego wędrowali dalej, skoro docierali wciąż po drodze do jakiegoś sanktuarium Maryjnego? Wędrowali niewątpliwie do zamierzonego od początku celu! Otóż zrozumiałem wraz z upływem lat, że te wielkie sanktuaria są wielkie zwłaszcza natłokiem pielgrzymów, z których każdy stara się dać coś z siebie w ofierze Bogu przez ręce Maryi: są one bogate znojem, udręką i wielkimi duchowymi ofiarami przybywających tutaj wiernych. Pomijając więc ściśle teologiczny argument, że dobroć i miłosierdzie Boga są nieograniczone, a tym samym niewyczerpywalne, trzeba dostrzec także ten drugi, nie mniej teologiczny, motyw podążania wiernych do tych wielkich, tłumnie nawiedzanych sanktuariów, a jest nim właśnie to, że do uobecnianej w nich wciąż na nowo Ofiary Chrystusa dołączają oni ustawicznie swoje własne, jakże autentyczne i wielkie ofiary osobiste, tak że Kościół jawi się w nich niemal namacalnie jako ten wielki i powszechny sakrament zbawienia – zgodnie z wyrażeniem użytym parokrotnie w dokumentach Soboru Watykańskiego II (por. np. KK 48; KDK 45).

c) *Sanktuarium Maryjne* – jak już wspomniałem – ma specyficzną wymowę. Wypada wspomnieć w tym miejscu o dosyć poważnym nieporozumieniu teologicznym, wywołanym już na Soborze i nagłośnionym tuż po nim, związanym z nazbyt przesadnym i jednostronnym – jak się niektórym teologom wydawało – kultem Maryi, praktykowanym aktualnie w Kościele katolickim. To prawda, że niektórzy duszpasterze i kaznodzieje – także jasnogórscy¹ – ukazywali Maryję

¹ Jeden z blisko związanych z katolicyzmem teologów prawosławnych wprost mi powiedział, że chociaż prawosławie oddaje wciąż wielką cześć Maryi, to jednak niektóre wypowiedzi o Niej

w takim blasku, że ginęła gdzieś w cieniu sama Trójca Święta. Można by więc było w tym kontekście uznać nawet za słuszny wysuwany przez tych teologów zarzut, iż Maryja zajęła w katolicyzmie miejsce należne Duchowi Świętemu. Czy jednak wysuwany przez nich (głównie byli to: R. Laurentin, H. Mühlen i paru innych) wniosek-postulat, iż należy (wreszcie) usunąć Maryję w cień, aby przywrócić miejsce należne Duchowi Świętemu (które Ona bezpodstawnie zajęła w życiu i pobożności katolików), był w pełni słuszny i uzasadniony?

Starałem się w swoim czasie omówić bardzo wnikliwie tę problematykę, powołując się m. in. także na maryjną pobożność ojca Maksymiliana Kolbe, który – wysuwając na plan pierwszy Maryję jako Niepokalanie Poczętą (a raczej jako Niepokalane Poczęcie – zgodnie z podanym przez Nią samą tytułem podczas Jej objawień w Lourdes Bernadecie Soubirou) – uwypuklał niesłuchanie ścisłą Jej więź z Duchem Świętym, który podzielił się z Nią swoim własnym Imieniem². Rozumowanie o Kolbe było następujące: chociaż w Starym Testamencie Bóg się objawiał, to był wciąż dla ludzi jakimś Wielkim Nieznanym,

i przejawy Jej kultu w katolicyzmie po prostu go rażą. Wspomniał przy okazji, że bywa często z pobożności także na Jasnej Górze, ale ma niekiedy jakieś wewnętrzne opory, gdy słucha kazań wygłaszanych tutaj przez niektórych przynajmniej Paulinów o Maryi.

² Kolbe mianowicie uważał (a wyjaśniał to często swoim braciom zakonnym w Niepokalanowie tak polskim, jak i japońskim), że Poczęcie jest synonimem Ducha (=Tchnienia), a Niepokalaność jest synonimem Świętości. Godne przy tym uwagi jest to, że o ile cała teologia zachodnia, w ślad za Soborem Florenckim, podkreślała wspólne działanie Osób Bożych „na zewnątrz” (*ad extra*) ze względu na wspólną Im wszystkim naturę (Bożą), to o. Kolbe – w duchu teologii wschodniej, której raczej nie znał, ale chyba jakoś intuicyjnie wyczuwał słuszność jej refleksji w tym względzie – akcentował specyfikę osobową, rzutującą także na charakter tychże działań. Ważne były dla niego objawione Imiona poszczególnych Osób Bożych, ukazujące tę Ich wewnątrztrynitarną specyfikę: Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. – Nawiasem mówiąc, o ile poważni teologowie, zarówno w Polsce, jak i na Zachodzie, pisali przeważnie drugą część Imienia Ducha małą literą: „św.”, upodobniając tym samym (raczej całkowicie bezmyślnie i bezwiednie) Jego świętość do świętości stworzeń (świętych w Kościele katolickim), czyli czegoś nabytego i wtórnego, to obecnie – właśnie dzięki pogłębionej nie bez wpływu o. Maksymiliana refleksji teologicznej na ten temat – piszą ten drugi człon Jego Imienia dużą literą i raczej go nie skrcają: Święty! – Duch Święty jest w tej perspektywie – jak samo Jego Imię wskazuje – duchowością i świętością Boga Trójjedynego. Szerzej omówiłem to zagadnienie w artykułach: *Pneumatyczny charakter kultu maryjnego*, w: *Człowiek we wspólnocie Kościoła* (red. ks. L. Balter), ATK, Warszawa 1979, s. 436-448; *Podstawy teologiczno-duszpasterskie Maryjnego Nawiedzenia*, Coll. Theol. 52 (1982) f. 3, s. 17-33; a także w: *Matka Boża nawiedza naszą stolicę*, z. 2, Warszawa 1980, s. 4-21; *Maria und das pilgernde Volk Gottes. Theologische Begründung der Pilgerschaft Mariens in Bildern und Statuen*, Coll. Theol. (1982) fasc. specialis, s. 89-114; *Rola Ducha Świętego w życiu Maryi*, w: *Matka Odkupiciela. Komentarz do enc. Redemptoris Mater* (red. ks. S. Grzybek), Wyd. PTT, Kraków 1988, s. 137-150; *Duch Święty w tajemnicy Maryi i Kościoła*, w: *Matka Jezusa pośród pielgrzymującego Kościoła* (red. J. S. Gajek, K. Pek). Wyd. Ks. Marianów (Théotokos 4), Warszawa 1993, s. 243-257; *O nowy kult Ducha Świętego*, w: *Duch Odnowiciel* (Kol. Communio 12), Poznań 1998, s. 439-457.

o czym świadczy dobitnie prośba apostoła Filipa, skierowana do Jezusa podczas Ostatniej Wieczerzy: „Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy” (J 14, 8). Odpowiedź Jezusa jest tu bardzo wymowna: „Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca” (w. 9), oznacza bowiem, że dopiero Jezus objawia ludziom prawdziwe oblicze Ojca Niebieskiego. Ale sam Jezus, oglądany i dotykany przez uczniów (por. 1 J 1, 1), jest dla nich także Wielkim Nieznanym. To dopiero Duch Święty – zgodnie z kilkakrotnie powtarzaną w trakcie tejże Wieczerzy obietnicą Jezusa – ukaże uczniom prawdziwe oblicze Jezusa. Co więcej, to On „uwewnętrzni” w nich Jezusa do tego stopnia, że o ile dotychczas „sprawy Jezusa” były dla nich Jego „własnymi” (prywatnymi poniekąd) sprawami, On zaś był Kimś oglądanym wyłącznie „z zewnątrz”, to po zstąpieniu na nich Ducha Świętego cała wielka „sprawa Jezusa” staje się „sprawą” ich życia i śmierci, oni zaś pójdą na „cały świat” jako Jego autentyczni świadkowie. Kto nam w tej sytuacji ukaże tak naprawdę, kim jest Duch Święty? – pyta Maksymilian i odpowiada, iż na skutek braku czwartej Osoby Boskiej takim objawicielem może być tylko ktoś dogłębnie przeniknięty Duchem Świętym, tak uduchowiony i uświęcony, że jest po prostu przejrzysty, przeźroczysty, przeświecający Duchem Świętym. Mógłby być nim Chrystus, ale jest On Bogiem-Człowiekiem. Skoro zaś *kenoza*, czyli wyniszczenie się Ducha, sięga dalej od *kenozy* Jezusa, albowiem Duch Święty objawia się nam już nie jako człowiek (jak Jezus Chrystus), ale w postaci jeszcze bardziej unижonej: jako szum wiatru, ogniste języki lub jako gołębica, to Jego autentycznym, żywym obrazem może być wyłącznie człowiek całkowicie święty, nieskalany i uduchowiony. Otóż jedynym takim człowiekiem jest Maryja: Ona jest najdoskonalszym Obrazem Ducha Świętego, Jego żywą Świątynią. Kto Ją czci, czci Boga Trójjedynego „w Duchu i Prawdzie” (J 4, 23). Sanktuarium Maryjne jest więc tym samym, w swej najgłębszej teologicznej wymowie, autentyczną Świątynią Ducha Świętego.

Do podobnego wniosku możemy dojść jednak inną, bardziej biblijną drogą. Otóż – zgodnie z powtarzaną na różnych miejscach jego listów nauką św. Pawła – ludzie przez „chrzest zanurzający ich w Chrystusa Jezusa” zostają „zanurzeni w Jego śmierć” i „razem z Nim pogrzebani po to”, aby wkroczyć „w nowe życie”. Albowiem „przez śmierć, podobną do Jego śmierci”, zostają „z Nim złączeni w jedno”, i to tak dalece, że będą z Nim również „złączeni w jedno przez podobne zmartwychwstanie”. A zatem, „jeżeli umarliśmy razem z Chrystusem, wierzymy, że z Nim również żyć będziemy. [...] Bo to, że umarł, umarł dla grzechu tylko raz, a że żyje, żyje dla Boga. Tak i wy rozumieście, że umarliście dla grzechu, żyjecie zaś dla Boga w Chrystusie Jezusie (Rz 6, 3-11). Dzięki temu tak ściśsemu zespoleniu ze Zbawicielem chrześcijanie stają się prawdziwą świątynią Boga: „Czyż nie wiecie, żeście świątynią Boga i że Duch Boży mieszka w was?” – pyta Apostoł i z całą mocą dopowiada: „Świątynia Boga jest

święta, a wy nią jesteście” (1 Kor 3, 16-17). Nieco zaś dalej powtarza: „Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Boga, i że już nie należycie do samych siebie? Za wielką bowiem cenę zostaliście nabyci. Chwalcie więc Boga w waszym ciele!” (1 Kor 6, 19-20; por. 2 Kor 6, 16). Już zresztą św. Jan przytoczył jakże wymowne słowa samego Jezusa: „Jeśli Mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go, i przyjdziemy do niego, i będziemy u niego przebywać” (J 14, 23). W tym kontekście już od wieków teologia katolicka mówi o zamieszkiwaniu Trójcy Świętej w człowieku usprawiedliwionym, który staje się siłą faktu prawdziwą świątynią Bożą, sanktuarium Ducha Świętego. Otóż, jeżeli każdy chrześcijanin staje się z racji swego chrzcielnego zespolenia z Chrystusem prawdziwą świątynią Boga i przybytkiem Ducha Świętego, to czyż taką, ale szczególnie wyjątkową, świątynią nie jest Niepokalana Dziewica z racji swego poczęcia bez grzechu pierwotnego, która ponadto – jak mówi Sobór Watykański II – „nie powstrzymana żadnym grzechem, całkowicie poświęciła samą siebie, jako służebnicę Pańską, osobie i dziełu Syna swego, pod Jego zwierzchnictwem i wspólnie z Nim z łaski Boga wszechmogącego służąc tajemnicy odkupienia” (KK 56)?

Odpowiedź na te i tym podobne teoretyczne pytania może być tylko jedna: Maryja jest wiecznie żywą i – by tak powiedzieć – ustawicznie czynną świątynią Ducha Świętego, albowiem – jak stwierdza cytowany Sobór – nawet „wzięta do nieba, nie zaprzestała tego zbawczego zadania, lecz poprzez wielorakie swoje wstawienictwo ustawicznie zjednuje nam dary zbawienia wiecznego. Dzięki swej macierzyńskiej miłości opiekuje się braćmi Syna swego, pielgrzymującymi jeszcze i narażonymi na trudy i niebezpieczeństwa, póki nie zostaną doprowadzeni do szczęśliwej ojczyzny” (KK 62). O ile zatem „Kościół w osobie Najświętszej Maryi Panny już osiąga doskonałość, dzięki której istnieje nieskalany i bez zwały (por. Ef 5,27), chrześcijanie ciągle jeszcze starają się usilnie o to, aby przez wyciążając grzech wzrastać w świętości, dlatego wznoszą oczy ku Maryi, która świeci całej wspólnotie wybranych jako wzór cnót. Rozmyślając o Niej zbożnie i przypatrując się Jej w świetle Słowa, które stało się człowiekiem, Kościół ze czcią głębiej wnika w najwyższą tajemnicę Wcielenia i coraz bardziej upodabnia się do swego Oblubieńca. Albowiem Maryja, która wkroczywszy głęboko w dzieje zbawienia łączy w sobie w pewien sposób i odzwierciedla najważniejsze treści wiary, gdy jest sławiona i czczona, przywołuje wiernych do Syna swego i do Jego ofiary oraz do miłości Ojca. Kościół zaś, zabiegając o chwałę Chrystusa, staje się bardziej podobny do swego wzniesłego Pierwowzoru, postępując ustawicznie w wierze, nadziei i miłości oraz szukając we wszystkim woli Bożej i będąc jej posłusznym” (KK 65).

Autentyczny kult Maryi nie przesłania więc nigdy Trójjedynego Boga, a tym bardziej Ducha Świętego, który staje się w Niej wyraźnie dostrzegalny.

Śmiało można w związku z tym powiedzieć, iż każde autentyczne sanktuarium Maryjne jest prawdziwą Świątynią Boga, żywym i życiodajnym Przybytkiem Ducha Świętego.

ŚWIADECTWO

Po tej względnie krótkiej refleksji teologicznej niech mi wolno będzie przejść do faktów i przeżyć bardziej osobistych. A zacznę je od wewnętrznego rozdarcia, by skończyć na scaleniu.

a) Urodziłem się przed wojną w Wilnie na Zwierzyńcu w parafii Niepokalanego Poczęcia N.M.P., czyli nieopodal (w odległości około 5 km) sanktuarium Matki Bożej Miłosierdzia w Ostrej Bramie. Mając 6 lat przystąpiłem do pierwszej Komunii św., a zaraz potem w czerwcu do bierzmowania. Jako mały ministrant pamiętam szczególnie uroczyste Msze święte roratnie, odprawiane zawsze z wystawieniem Najśw. Sakramentu w monstrancji, przy czym przez całą Oktawę Niepokalanego Poczęcia – właśnie o tym Świącie. Pamiętam także codzienne wieczorne nabożeństwa różańcowe, które proboszcz miejscowy, wspominany w jednym ze swych młodzieńczych wierszy przez Czesława Miłosza, ks. kanonik R. Chomski wprowadził na cały czas wojny (ujmowały mnie zwłaszcza te „różańce” odmawiane w okresie Bożego Narodzenia przy żłóbku betlejemskim, kiedy mogłem tak z bliska oglądać Chrystusa i Jego Matkę). Pamiętam także dokładnie moment, gdy śp. moja Mama (zmarła w 1988 w 95. roku życia) zaprowadziła mnie do Ostrej Bramy, gdzie służyłem po raz pierwszy do Mszy świętej: utkwiał głęboko w mych oczach cudowny Obraz Matki Miłosierdzia z obejmującym go od dołu srebrnym półksiężycem i cały wygląd ołtarza.

Muszę także przyznać w tym miejscu, iż miałem to szczęście, że nie chodziłem wcale do szkoły (jedynie na początku wojny musiałem uczęszczać do jakiegoś „litewskiego” przedszkola, gdzie się uczyliśmy przyśpiewek antylitewskich: Litwinów bowiem w mieście – poza okupantami – prawie że nie było); dzięki temu dzieciństwo moje upływało niemal bezstresowo, nie licząc oczywiście (interesujących dosyć dzieciaka i niejednokrotnie bardzo niebezpiecznych) działań wojennych. Ulice uczyły mnie czytania (szyldy, napisy na sklepach), w domu zaś trochę pisałem i zaglądałem do podręczników szkolnych, wydawanych przed wojną we Lwowie. Nie przeżyłem chyba wcale śmierci ojca, który został prawdopodobnie rozstrzelany przez Niemców w więzieniu na Łukiszkach (w 1941 lub 1942 r.): po jednym czy drugim uwięzieniu po prostu zniknął mi z oczu. Utrwały się natomiast w mej pamięci pielgrzymki do Kalwarii Wileńskiej i wędrowanie po wyłaniających się nagle z leśnej gęstwiny rozlicznych (chyba 34) stacjach Drogi Krzyżowej. Muszę przyznać, że gdy potem, w r. 1949, byłem

po raz pierwszy w Kalwarii Zebrzydowskiej, odniosłem bardzo marne wrażenie: las rzadki, wszystko widać, ludzie sobie nawzajem przeszkadzają, dróżki Maryjne z własnymi stacjami są poplątane ze stacjami Krzyżowej Drogi Chrystusa...

Dnia 3 maja 1946 r., a więc w uroczystość Maryi Królowej Polski, wsiedliśmy wraz z Mamą, babcią i rzeczami, które można było zabrać, do pociągu towarowego, liczącego ponad 40 wagonów (a był to już chyba 41. transport), którym mieliśmy jechać do Radomia (wszyscy jechali obowiązkowo na tzw. Ziemię Odzyskane, ale Mama bała się dalszych wysiedleń, przeżyła bowiem I. wojnę światową w okolicach Witebska i Smoleńska, i z wielkim trudem przedostała się po rewolucji bolszewickiej do Wilna, gdy tymczasem połowa jej licznego rodzeństwa zaginęła bezpowrotnie w Rosji, dlatego też postarała się od swego rodzonoego brata, który uciekając wraz z rodziną przed Niemcami w 1939 r. trafił aż do Wilna i jako jeden z pierwszych udał się do swego domu w Radomiu już w 1945 roku, o zaproszenie z zapewnieniem, że ma dla nas mieszkanie). A ponieważ bolszewicy wieźli z Niemiec łupy zdobyczne dwoma torami z Warszawy przez Wilno, jednym zaś tylko torem z Królewca przez Kowno, pociąg nasz skierowano na Kowno i Królewec, a następnie Olsztyn, Toruń, Bydgoszcz (natomiast wagon, którym jechaliśmy, z powrotem do Torunia, Łodzi, Skarżyska i Radomia). Była to wspaniała dla mnie podróż, pełna przygód, trwająca ponad trzy tygodnie (do 24 maja – też święto Maryjne). Nazywano ją fałszywie i zdecydowanie bałamutnie „repatriacją”, czyli „powrotem do Ojczyzny”, a w rzeczy samej było to wywożenie wszystkich Polaków z ich własnej Ojczyzny! Jak wielkie zakłamanie wpajane nawet małemu dziecku!

Utraciłem dom rodzinny, ukochane nade wszystko Wilno wraz z tym jedynym i niepowtarzalnym Sanktuarium Matki Miłosierdzia! Mieliśmy wprawdzie w domu niewielki, pięknie oprawiony, obrazek Matki Bożej Ostrobramskiej, przed którym zawsze, gdy tylko było to możliwe, płonęła wieczna lampka, i zabraliśmy go ze sobą jako najcenniejszą relikwię, czułem się jednak wyrzucony na bruk, ogołocony ze wszystkiego, duchowo i psychicznie osierocony. Jakże mi bliskie, a poniekąd własne, były więc przez te wszystkie długie lata słowa, które Adam Mickiewicz spisał w „Epilogu” do „Pana Tadeusza”: „O tym-że dumać na paryskim bruku / przynosząc z miasta uszy pełne stuku / przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, / za późnych żalów, potępieńczych swarów. / Biada nam zbiegi, żeśmy w czas morowy / lękliwie nieśli za granicę głowy! [...] O Matko Polsko! Ty tak świeżo w grobie / złożona – nie ma sił mówić o tobie! [...] Dziś dla nas, w świecie nieproszonych gości, / w całej przeszłości i w całej przyszłości / jedna już tylko jest kraina taka, w której jest trochę szczęścia dla Polaka: / Kraj lat dziecińczych! On zawsze zostanie / święty i czysty jak pierwsze kochanie. [...] Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny! / Jak świat jest Boży, tak on był nasz własny!”.

W Radomiu rozpoczęła się szkoła: powinienem był ją zacząć (wiekowo) od 4. klasy, ale zapowiadano egzamin wstępny i na wszelki wypadek Mama zapisała mnie do 6. klasy, licząc, że skoro nie zdam (co było niemal pewne, bo się nie uczyłem!), to może się załapię jeśli nie do 5., to przynajmniej do 4. klasy. Egzaminu na szczęście nie było i zacząłem się uczyć szkoły: mówiono mi o ściąganiu (ale po co? dlaczego?), o podpowiadaniu (?), o jakimś naciąganiu nauczycieli (?) – nie widziałem w tym wszystkim najmniejszego sensu. Zresztą nauczyciele z małymi wyjątkami byli bardzo przeciętni: na przykład pani od biologii przychodziła z reguły pięć minut przed końcem lekcji, ksiądz katecheta w szóstej klasie był antywychowawcą, w siódmej natomiast klasie inny katecheta spóźniał się przeważnie ponad 20 minut, a z wykładanej przez siebie liturgii wiedział zdecydowanie mniej ode mnie jako wytrawnego już ministranta (odnosiłem zresztą na co dzień wrażenie, że centralna Polska jest liturgicznie bardzo zacofana w zestawieniu z Wilnem!, a więc, że wymaga – mówiąc językiem Jana Pawła II – nowej ewangelizacji).

Na jeszcze jeden fakt pragnę zwrócić uwagę: zapewnienie wujka o mieszkaniu dla nas w Radomiu okazało się fikcją; przez dwa dobre miesiące tułaliśmy się z Mamą po mieście szukając jakiegoś kąta, aż wreszcie znaleźliśmy pokój z kuchnią w drewnianym domku na przedmieściu Radomia – w surowym stanie. Trzeba było to mieszkanie ocieplać (tynkować), gdyżśmy już tam zamieszkali. A że Mama była słabego zdrowia (w Wilnie w czasie wojny przebywała przez jakiś czas w szpitalu ze względu na tzw. zapalenie ucha środkowego), wilgoć w mieszkaniu wywołała u niej tak wielkie bóle (i zniekształcenia stawów) artretyczne (reumatyczne), że musiała leżeć w łóżku i dopiero w Sylwestra 1946 r. rodzona jej siostra mieszkająca od lat przedwojennych w Krakowie, z zawodu pielęgniarka, zabrała ją karetką wojskową do Krakowa: do dzisiaj pozostały mi w pamięci wrażenia z tej podróży, kiedy to każde miasto (Skarżysko, Kielce itd.) miało swoje szlabany, na których nas zatrzymywano i legitymowano, przy czym droga była śliska jak lodowisko. Mama pozostała w szpitalu w Krakowie, a mnie odesłano 7 stycznia 1947 r. (w dniu moich urodzin i imienin zarazem) do Radomia – do szkoły. Utkwiła mi w pamięci nie tyle długa (8 godzin) podróż pociągiem, co samo wejście do pustego, wyziębionego mieszkania, w którym tylko choinka przypominała, że jest to czas świąteczny. Pamiętam, że zmęczony podróżą, głodny i zmarznięty usiadłem na krześle w płaszczu i zasnąłem: zjawiła się jednak życzliwa starsza pani, która wynajmowała połowę swego domu księżom (gdyż żadnej plebanii wtedy jeszcze nie było), i zabrała mnie do siebie. Mieszkałem przez pół roku u niej i ona dawała mi rano przed pójściem do szkoły coś do zjedzenia, kiedy zaś wracałem ze szkoły kucharka gotująca księżom podawała mi coś z obiadu. Na Wielkanoc jeden z księży udających się do Krakowa zabrał mnie ze sobą wieczornym pociągiem: zatrzymał

się u księży studiujących w Krakowie w domu sióstr przy ul. Garncarskiej, a ponieważ był już bardzo późny wieczór, przenocowałem na jakimś kocu na korytarzu, aby rano powędrować do cioci. Ale jak tu trafić w obcym mieście? Pamiętałem tylko tyle, że tramwaj nr 6 jeździ na Salwator do kościoła Sióstr Norbertanek, będącego parafią cioci, a ponieważ byłem już tam kilkakrotnie w styczniu, szedłem najpierw piechotą za tramwajem do najbliższego skrzyżowania torów, potem – gdy nadjechała następna „szóstka” – biegłem dalej za nią – i tak dotarłem do kościoła, a potem znaną już mi drogą do domu cioci. Dopiero po latach stwierdziłem, że można było pójść „na skróty” ulicą wiodącą na kopiec Kościuszki. Odwiedziliśmy parokrotnie Mamę leżącą nadal w szpitalu i wróciłem zaraz po Świętach ponownie do Radomia. Dopiero gdzieś pod koniec maja lub w początkach czerwca zjawiała się Mama w domu: stwierdziła, że szpital wcale jej nie wyleczył, zdecydowała się więc wyjść ze szpitala na własne życzenie i udała się na Jasną Górę – do Matki Bożej, Uzdrowicielki Chorych. Poczuli się tu uzdrowiona. Przywiozła więc ze sobą dosyć duży obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej (czarno-biały), a potem własnoręcznie go podpisała słowami modlitwy: „Pod Twoją obronę uciekamy się...”, oprawiła i powiesiła nad łóżkiem. Poczułem jakiś żal do niej, spowodowany tym, że zdradza „naszą” Matkę Boską: owszem, cieszę się bardzo jej wyzdrowieniem, ale czy „nasza” Matka Boża jest „gorsza” od Częstochowskiej? Musiałem jej chyba o tym (i to prawdopodobnie nieraz) mówić, bo pamiętam, że zabrała mnie wkrótce potem wraz ze sobą do Częstochowy. Nie zdradziła intencji, w jakiej jedziemy, czy chodziło o podziękowanie, czy o jakąś dalszą jeszcze prośbę, pozostała mi jednak głęboko w pamięci ta pierwsza pielgrzymka na Jasną Górę: rzuciły mi się mocno w oczy bardzo liczne wota, a zwłaszcza kule-podpory do nóg, wiszące na żelaznych kratkach przed Cudownym Obrazem (kilkakrotnie potem zmieniały one miejsce, aż trafiły na boczne ściany Kaplicy). Jak się wówczas modliłem przed Cudownym Obrazem, tego nie pamiętam. Wiem tylko, że musiałem się potem długo jeszcze „uczyć” Jasnej Góry, podobnie jak wcześniej musiałem zacząć się uczyć szkoły. Chociaż wędrowałem później wielokrotnie na Jasną Górę, chociaż już w 1957 r. nawiedziła nasze Wyższe Seminarium Duchowne w Ołtarzewie kopia rozpoczynającego swą wędrówkę po Polsce Obrazu Jasnogórskiego (która wydała mi się wówczas taka nijaka, ogołocona z pięknych szat), przed którą spędziliśmy wiele czasu na modlitwie, a wkrótce potem udaliśmy się jako całe Seminarium z pielgrzymką na Jasną Górę, i chociaż po piątym roku studiów seminaryjnych przełożeni skierowali mnie na cały sierpień do pracy na Dolinie Miłosierdzia opodal Jasnej Góry, którą odwiedzałem niemal codziennie zwłaszcza w porze modlitwy różańcowej (o godz. 16.), i chociaż Mszę św. prymicyjną odprawiałem przed Cudownym Obrazem Jasnogórskim, i chociaż uczestniczyłem czynnie w wielu wielkich uroczystościach odprawianych na Jasnej Górze (łącznie z tą

milenijną, obchodzoną 3 maja 1966 r.), i chociaż wielokrotnie czuwaliliśmy przez całe noce wraz z młodzieżą w ramach odprawianych przez nią rekolekcji w Kaplicy Jasnogórskiej, i chociaż przywoziłem na Jasną Górę wielu gości-pielgrzymów zagranicznych, tak że Ojcowie Paulini traktowali mnie poniekąd już jako swego domownika, który zna nie tylko klasztor, ale przede wszystkim samo Serce tego klasztoru, to przecież mimo wszystko moje serce było nadal duchem obecne w Wilnie przed Matką Bożą Miłosierdzia. Kiedy przed paru laty zwierzyłem się z tego swego wewnętrznego rozdarcia Księdzu Arcybiskupowi S. Nowakowi, nie uwierzył on chyba, iż to rozdarcie jest prawdziwe. Bo może faktycznie go nie ma? Przecież jako teolog wiem, że Maryja jest wszędzie jedna i ta sama. Niemniej: nie każde Jej sanktuarium przemawia jednakowo do serca. Tak jak proroków było wielu w Izraelu i każdy miał jakieś własne, powierzone mu przez Boga, zadanie, tak jest też chyba z profetyczną funkcją sanktuariów Maryjnych, z których każde przemawia własnym głosem do świata.

b) *Scalanie* trwało długo i chyba trwa do dzisiaj. Postaram się to jakoś wyjaśnić. Cytowany już Adam Mickiewicz w inwokacji rozpoczynającej „Pana Tadeusza” zespala te dwa sanktuaria ze sobą, wysuwając – mimo swego niemal wileńskiego pochodzenia – na plan pierwszy Jasną Górę: „Panno święta, co Jasnę bronisz Częstochowy / i w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy / nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem! / Jak mnie, dziecko, do zdrowia powróciłaś cudem / (gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę / ofiarowany, martwą podniosłem powiekę / i zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu / iść, za wrócone życie podziękować Bogu)³, / tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...”

Uderza mnie również podany przez S. Wyspiańskiego opis dekoracji bardzo lubianego przez reżyserów i niezwykle często grywanego jego dramatu – jak go sam nazywa – „Wesele”. Sam autor pisze: „Rzecz dzieje się w roku tysiąc dziewięćsetnym”, czyli w czasie, gdy Polska istniała tylko w sercach Polek i Polaków. Możemy dodać od siebie, iż kanwą tego dramatu było konkretne wesele, w którym on sam uczestniczył: oto jego przyjaciel, poeta Lucjan Rydel, żenił się z wieśniaczką mieszkającą we wsi Bronowice, położonej tuż pod Krakowem (obecnie to już Kraków). Wyspiańskiemu, jako niezwykle utalentowanemu malarzowi i poecie, utkwiał głęboko w pamięci wystrój tej wiejskiej chałupy weselnej: „Nad drzwiami weselnymi ogromny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej z jej sukienką srebrną i złotym otokiem promieni na tle głębokiego szafiru; a nad drzwiami alkierza takiż ogromny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, w utkanej wzorzystej szacie, w koralach i koronie polskiej Królowej, z dzieciąt-

³ Zauważmy głęboko teologiczny wymiar tej inwokacji: uzdrowiony za wstawiennictwem Matki Miłosierdzia, Poeta wędruje pieszo do Jej sanktuarium, aby nie Jej osobiście, ale samemu Bogu dziękować za to cudowne uzdrowienie!

kiem, które rączkę ku błogosławieniu wzniosło. Strop drewniany w długie belki proste, z wypisanem na nich Słowem Bożym i rokiem pobudowania⁴. Oglądałem wielokrotnie w różnych ujęciach ten dramat wystawiany na scenie, ale nie przypominam sobie takiej rzucającej się w oczy i tak niezwykle wymownej „dekoracji”. Zauważmy: rzecz dzieje się w zaborze austriackim, a dwa wielkie Obrazy pochodzą z zaboru rosyjskiego. Ktoś musiał więc pielgrzymować i na Jasną Górę i do Wilna, gdyż bez tego pielgrzymowania obecność tych dwóch obrazów staje się po prostu niezrozumiała i niewytłumaczalna. Oba sąsiadują ze sobą i wcale się „nie kłóca”.

Znamienna jest wreszcie także wypowiedź wielkiego Prymasa Tysiąclecia, oddanego bez reszty niewolnika Maryi Jasnogórskiej. W kazaniu wygłoszonym w swojej rodzinnej parafii w Zuzeli miał on powiedzieć: „Ojciec mój z upodobaniem jeździł na Jasną Górę, a moja matka – do Ostrej Bramy. Razem się potem schodzili w nadbużańskiej wiosce, gdzie się urodziłem, i opowiadali wrażenia ze swoich pielgrzymek. Ja, mały brzdąc, podsłuchiwałem, co stamtąd przywozili. A przywozili bardzo dużo, bo oboje odznaczali się głęboką czcią i miłością do Matki Najświętszej i jeżeli co na ten temat ich różniło – to wieczny dialog, która Matka Boża jest skuteczniejsza, czy ta, co w Ostrej świeci Bramie, czy ta, co Jasnej broni Częstochowy... A w domu nad moim łóżkiem wisały dwa obrazy: Matki Bożej Częstochowskiej i Matki Bożej Ostrobramskiej”⁵. Znamienny jest tu (z pewnością pozorny tylko) spór rodziców, zakończony umieszczeniem nad łóżkiem małego Stefana dwóch tak ważnych dla całej rodziny Obrazów. (Nawiasem dodam, że policzyłem u siebie w pokoju obrazy i okazało się, iż są trzy różne Jasnogórskie i trzy różne Ostrobramskie: czyżby to oznaczało koniec tego wewnętrznego rozdarcia, o jakim tutaj mówiłem?).

WNIOSKI I SUGESTIE

Zanim przejdę do wniosków lub/i sugestii, pragnę przywieść na pamięć piękne świadectwo św. Faustyny Kowalskiej. W swoim „Dzienniczku” pod datą 27 maja 1933 r. (nr 259) zapisuje, że wyjeżdża dzisiaj do Wilna. A więc ona, która ogląda tak często Jezusa Miłosiernego i ma malować Jego obraz, jedzie teraz faktycznie do Matki Miłosierdzia, którą będzie się starała często odwiedzać. Boi się jednak tego wyjazdu, nie wie bowiem, co ją tam czeka. „Co ja tam pocznę w tym Wilnie – mówi do Jezusa. – Nikogo nie znam, nawet i mowa tamtejszych ludzi jest mi obca. I rzekł mi Pan: *Nie lękaj się, nie pozostawię cię samą*” (nr 258). Ale co jest tu szczególnie ważne? Jej gorące pragnienie spotkania się z Matką

⁴ S. W y s p i a ń s k i, *Wesele. Dramat w trzech aktach*, cz. I: Tekst, Warszawa 1930, s. 7.

⁵ Cyt. za: ks. T. K r a h e l (red.), *Poezja ostrobramska. Modlitwa poetycka*, wyd. IV zmienione, Białystok 2002, s. 20.

Bożą Częstochowską, której nigdy dotąd w swym życiu nie widziała. „Miałam pozwolenie wstąpić do Częstochowy” – pisze, czyli zrobić przerwę w podróży. I zaraz potem dodaje: „Po raz pierwszy ujrzałam Matkę Bożą, kiedy poszłam rano o godzinie piątej na odsłonięcie obrazu. Modliłam się bez przerwy do godziny jedenastej i zdawało mi się, że dopiero co przyszłam. Matka tamtejsza przełożona przysłała po mnie siostrę, żebym przyszła na śniadanie, i martwi się, że się spóźnię na pociąg. Wiele mi powiedziała Matka Boża. Oddałam Jej swoje śluby wieczyste, czułam, że jestem Jej dzieckiem, a Ona mi Matką. Nic mi nie odmówiła, o co Ją prosiłam” (nr 260).

Nie przerywałam tej wypowiedzi, chociaż warto było zwrócić na niektóre szczegóły baczniejszą uwagę. Oto w obliczu Matki Najświętszej Faustyna jakby zapomniała o całym świecie. Tymczasem każdy normalny człowiek, nawet częściej podróżujący, spogląda dosyć często na zegarek, martwi się bowiem, czy zdąży na pociąg, myśli także przeważnie o dalszej podróży... Faustyna trwa na czczo przy Maryi przez sześć (!) godzin i jej się wydaje, jakby dopiero co przyszła. Gdyby nie interwencja z zewnątrz (zmartwienie matki przełożonej), trwałaby tak na modlitwie aż do zasłonięcia Obrazu, a może i jeszcze dłużej... Wyobraźmy sobie tę sytuację: młoda zakonnica klęczy wciąż przed Cudownym Obrazem, nie zważając na to, że zmieniają się ludzie, że co jakiś czas, a może nawet jeden po drugim, bo tak bywało wówczas niejednokrotnie, księża odprawiają Mszę św. nie tylko przed Obrazem, ale i przy bocznych ołtarzach, albowiem nie było jeszcze koncelebry i na Mszę św. przed Obrazem trzeba było znacznie wcześniej się zapisać. Przy każdym ołtarzu rozlegają się co chwila dzwonki ministrantów (to dzwonienie było wówczas obowiązkowe), ale to jej nie przeszkadza: jest tak skupiona na modlitwie, że niczego innego nie widzi ani nie słyszy poza Jezusem i Maryją. „Wiele mi powiedziała Matka Boża”. Ale co jej powiedziała? – tego się nigdy nie dowiemy. Nie odmówiła jej też żadnej prośby: tego jest ona stuprocentowo pewna. Ale o co prosiła Maryję? – Też nie wiemy. Jakże krótkie i jak bardzo wymowne jest to świadectwo wskazujące na profetyczną tak wówczas, jak i obecnie, misję Jasnej Góry!

Dlaczego o tym mówię i czy można wyciągnąć z tego jakieś wnioski konkretne? Niewątpliwie tak. Już za mojej pamięci sam wygląd Cudownej Kaplicy zmieniał się przynajmniej pięciokrotnie: różne większe zwłaszcza obchody, a zwłaszcza Millenium Chrztu Polski, czy też Jubileusz Jasnej Góry, powodowały potrzebę, a poniekąd nawet konieczność dopasowania wnętrza Kaplicy do zaistniałej nowej sytuacji. Dawniej wieszano na przykład składane z dnia na dzień nowe wota na ołtarzu tuż przy Matce Bożej, aby ofiarodawcy, którzy zaznali jakichś łask szczególnych, mieli chociaż na krótko tę świadomość, że oznaka ich wdzięczności jest blisko serca Matki Bożej. Później ograniczano te możliwości, albowiem rozliczne nowe wota zasłaniały coraz bardziej te starsze:

trzeba więc było usuwać je z ołtarza i przenosić na inne odpowiednie miejsce. Kolejne wizyty Jana Pawła II na Jasnej Górze i przekazywane przez niego bardzo szczególne wota (złota róża, pas skrwawiony kulą, która go przeszła, złote korony dla Maryi, itd.) sprawiły, że wszystkie inne wota zaczęto rozmieszczać na ścianach Kaplicy, odpowiednio do tego przystosowanych.

Zmieniają się również nierzadko pory odsłaniania i zasłaniania Cudownego Obrazu, przed którym wierni pragną czuwać niejednokrotnie całymi nocami. Zmienia się wreszcie także całe otoczenie Jasnej Góry. Pomijając nowe wielkie sale służące zwłaszcza przeróżnym sympozjom i kongresom Maryjnym, nie można nie dostrzec ulepszanych wciąż parkingów dla autobusów i samochodów, zwożących pielgrzymów, wybudowanych dla nich specjalnie domów, sklepów i restauracji, czego dawniej w ogóle nie było. Widać tu wyraźnie, iż Jasna Góra idzie wraz z postępem czasu, ale czy zawsze we właściwym kierunku?

Pojawiła się nie tak dawno tuż przy Cudownej Kaplicy na wysokości Obrazu Maryi kaplica Wiecznej Adoracji Najśw. Sakramentu, gdzie wierni w ciszy i skupieniu mogą zwracać się wprost do Chrystusa u boku Jego Matki. Wiszący na głównej ścianie tuż nad tabernakulum wielki obraz Chrystusa Miłosiernego ma tu swoją szczególną wymowę: staje się nowym orędziem płynącym do świata z Jasnej Góry Zwycięstwa.

Brakuje mi jednak trochę dawnego Wieczernika Eucharystycznego. Co prawda, on istnieje, ale zmieniły się w międzyczasie mocno obyczaje liturgiczne. Za dawnych czasów nie udzielano z reguły komunii św. wiernym podczas Mszy św. odprowadzanej zwłaszcza przed Cudownym Obrazem. Sobór Watykański II zmienił dosyć radykalnie te zwyczaje, ale czy wprowadzanie reform soborowych nie „przeskoczyło” poniekąd ducha i zamysł Soboru? Mam tu głównie na myśli wielkie liturgie odprowadzane na Szczytcie Jasnej Góry. To prawda, że podczas wszystkich Mszy „papieskich” księża udawali się z komunią św. do wiernych. Czy jednak, pomijając chwilowo sytuację typowo polską, nie powodowało to na świecie potencjalnej co najmniej profanacji Eucharystii? Przecież w tych wielkich skupiskach ludzi pojawiali się gapie, ciekawscy, przedstawiciele innych wyznań i religii, agnostycy i niewierzący! Dlaczego oni, skoro im podawano, mieli nie przyjąć Jezusa Eucharystycznego, chociaż nie wiedzieli nawet, co z Nim zrobić! Zaniedbano zarazem, poniekąd mimowolnie, tak akcentowaną dawniej komunie duchową. Czy nie popadnięto tym samym z jednej skrajności (gdy byłem dzieckiem, nie udzielano jakby z reguły komunii św. w niedziele, a istniał nawet oficjalny zakaz udzielania jej podczas Mszy św. odprowadzanej z wystawieniem Najśw. Sakramentu, czyli w każdy pierwszy piątek miesiąca, podczas całej oktawy Bożego Ciała, itd.); „nachalni” wierni mogli ją przyjąć jedynie prywatnie – po zakończeniu całej liturgii mszalnej) w drugą skrajność, z przesadnego rygoryzmu w niesłychany wprost laksyzm, wyrażający się w całkowitym braku szacunku

dla Jezusa Eucharystycznego? Wydaje mi się, a moja pamięć wzrokowa wyraźnie to potwierdza, że ten częstochowski Wieczernik był także wielkim głosicielem czci należnej Chrystusowi ukrytemu w Najśw. Sakramencie: to do niego garnęli się tłumnie pielgrzymi pragnący jak najbardziej świadomie przyjąć Jezusa do swoich serc. W istniejącej obecnie sytuacji brakuje mi bardzo tego szczególnego pielgrzymowania do Jezusa Eucharystycznego i tej wielkiej profetycznej wymowy Wieczernika Jasnogórskiego!

Pojawił się natomiast codzienny Apel Jasnogórski, w którym dzięki Radiu „Maryja” i Telewizji „Trwam” mogą uczestniczyć niezliczone rzesze rodaków w Kraju i zagranicą. Profetyczne orędzie płynące z Jasnej Góry Pokoju i Zwycięstwa rozbrzmiewa w ten sposób w sercach milionów Polaków, ożywiając ich wiarę, rozpalając w nich ufność i głęboką miłość do Maryi, Jej Boskiego Syna i bliźnich. Niech to orędzie rozbrzmiewa na wszelkie możliwe sposoby i dociera aż na krańce ziemi. Należy ono przecież integralnie do profetycznej misji tego Świętego Miejsca.

Można by jeszcze zwrócić uwagę na inne drobne szczegóły; Jasna Góra obfituje bowiem w miejsca wiele mówiące i profetyczne zarazem. Zostawiam to jednak osobistej refleksji słuchaczy. Dziękuję za uwagę. I na tym kończę.